

IGOR  
NEWERLY

ZOSTAŁO  
Z UCZTY  
BOGÓW

Państwowy Instytut  
Wydawniczy

## ŚLADAMI ŻELAZNEGO ŻUBRA

Pojechaliśmy z Jarkiem na ten cmentarz. Kamienna płyta była oczyszczona i wokół rosły kwiatki, dbał o to czerstwy jeszcze Makar Kozak z pobliskiej ulicy Tropinka (była tu kiedyś zamiast ulicy ścieżyna przez zachwaszczone ugory). Zacząłem mówić z myślą: niechże Jarek wie co nieco o swym dziadku. W miarę jak rozpamiętywałem, wszystko zdawało się uchodzić w tłum skamielin dookoła, pomiędzy znaki z czasów carskich na pomnikach, i tchnęło niezmaconą dziwnością jak grób rosyjskiego oficera, nad którym stoją oto syn i wnuk, pisarze polscy.

Potem dziesięć kilometrów szosą asfaltową – za moich czasów była z tłucznia, czyli makadam – dziesięć kilometrów przez puszcę, po której tylko nazwa została, Puszcza Białowieska. Ano była tu puszcza, półtora tysiąca kilometrów kwadratowych kniei królewskiej, bory niebywałe, nietknięte siekierą, tylko monarcha mógł sobie pozwolić na taką perłę swej korony, na luksus utrzymania ostatniej w Europie najprawdziwszej pierwotnej puszczy, gdzie stały jeszcze święte dęby pogańskie, a cisza była głębinowa, denna cisza, i zielonkawosiny jak rozpylony grynszpan półmrok, i zapach próchnicy zetłatej na wieki przed milenium, gdzie rośliny, drzewa, zwierzęta żyły, jak chciały, i żubry chodziły swobodnie stadami prosto z prehistorii. Taka była puszcza mego dzieciństwa. Znikła z ostatnią dynastią. Niemcy za kajzera zaczęli, Poleszucy z okolicznych wiosek podchwycili i w te

pędy także do lasu z siekierami, po nich nadleśnictwa państwowe i obce koncesje z piłami mechanicznymi, z tartakami, z Hajnówką całą, w końcu Niemcy za Hitlera, i chłopci, i partyzanci, wszyscy cięli las, tłukli zwierzynę, aż granicą przecięto tę perłę na dwoje, tu Białowieża sowiecka, a tu Białowieża polska – taką sztuką puszcze tłuką na makadam, psiakrew, na makadam...

Szukaliśmy śladów dawnego czasu po drodze i potem na miejscu, w Zwierzyńcu. Nie było. Znaku po dziadkowym Zwierzyńcu nie zostało. Był park – rośnie las, był pałacyk – stoi nowa, nawet zgrabna leśniczówka. Nikt nie wyjrzał. Sarenka przyglądała się nam zza węglą, przechyliwszy z lekka główkę jak wszystkie sarenki, które miałem, a co roku przynoszono nam jakieś znalezione w lesie sarniątko. Karmiliśmy je smoczkiem, Helenka i ja, kłóciliśmy się, rywalizowaliśmy z sobą o względy naszej pieszczoszki. Dzień zaczynał się, gdy na korytarzu rozlegały się drobno kłaskające kroki, nasłuchiowaliśmy, czy raciczki jej nie zgrzytną w poślizgu na parkiecie, bo wtedy z pewnością będziemy mieli dzień feralny. Wreszcie wchodziła, Boże miły, wchodziła między nasze łóżka i przechyliwszy łeppek, zerkiała w prawo i w lewo, to była wielka chwila, wstrzymywaliśmy dech pod kołderkami: u kogo będzie dziś szukała ciepłej buteleczki mleka? Pod czyją poduszkę wetknie swój czarny, wilgotny, rozkoszny pyszczek?

Sarenka rosła z nami, miała później małe i szła z nimi w swe własne leśne życie, czasem okazywała się koziołkiem, jak Frycek, który wyrósł na kapitalnego rogacza o wspaniałych krzyżowych parostkach, ale tak się rozbrykał, że każdego bódł, pokaleczył nawet bożogrobską babę Genowefę, co to chodziła niby to do grobu Zbawiciela i wracała z woreczkiem ziemi świętej, którą następnie przez całą zimę sprzedawała w Budach na szczypty, otóż tę babę, ledwo do nas przyszła, Frycek wyrznął z tyłu w krzyż i dziadek kazał go przepędzić za bramę. Wtedy właśnie wydarzyła się ta historia z zubrami.

Przyjechali Anglicy, jedna jedyna wycieczka, jaką pamiętam. Nie znano tu przecież żadnej turystyki. Puszcza Białowieska, prywatny

majątek cara, to były obszary całkowicie zamknięte, dostępne wyłącznie dla panującego i jego gości. Musieli to być nie byle jacy Anglicy, skoro uzyskali zgodę dworu na zwiedzanie puszczy. Dziadek dał im dwa powozy i jegra. Nie szukali długo, bo już kilometr od Zwierzyńca trafili na stado żubrów z Fryckiem, a trzeba wiedzieć, że po wygnaniu z raju przystał do żubrów i chodził z nimi w charakterze czujki. Żubry na ten niezwykle dla nich widok tyłu ludzi ustawiły się w swój szyk obronny, byki dookoła, krowy z cielakami w środku, i tak się przypatrywały spode łba pstrej i rozgadanej gromadce, a Frycek, który nieraz ludzi przewracał, doskoczył bliżej i jeden Anglik zaczął się z nim mocować. Jegier próbował mu na migi wyperswadować, żeby dał spokój, bo to wyjątkowo złośliwy cap, ale tamten machnął ręką, co mu tam jakiś sarniak, on w Afryce polował na lwy, na nosorożce... Przygiął kark Frycka do ziemi, aż Frycek zabezczał, i wtenczas żubry ruszyły. Może by tylko postąpiły parę kroków, gdyby nie popłoch, nie paniczna ucieczka do powozów, wówczas żubry ruszyły żwawiej, panie w krzyk i jeszcze się zaślaniają letnimi, od słońca, parasolkami z czerwonego jedwabiu, więc byki w cwał i zaczęła się gonitwa. Pędzą, ziemia dudni, z daleka widać już palisadę Zwierzyńca, i już bramę widać, ale co to? Brama zamknięta! Stangret Bolesław czapkę zdjął i przeżegnał się, tak mi tyle razy opowiadał, przeżegnałem się, paniczu, bo to, widzę, koniec, przede mną płot, a z tyłu żubry, rozniosą nas na rogach i kopytach... Szczęściem Dmytruk, głupawy Dmytruk, którego babcia trzymała przez litość we dworze, stał akurat przy bramie, rozwarł wierzeje i zatrzasnął, miał rozum zatrzasnąć za powozami. Tylko dzięki niemu skończyło się na strachu, wszyscy zeszli szczęśliwie z powozów na roztrzęsionych nogach, ale jedną *lady* trzeba było wynosić, bo zemdłała.

A w ogóle jeśli chodzi o żubry, których wówczas było dużo, podobno około ośmiuset sztuk, to byliśmy z nimi w dobrej komitywie i spotkawszy w lesie, przyglądaliśmy się zza drzew, jak się pasą lub wędrują. Nie baliśmy się żubrów w stadzie, uciekaliśmy dopiero na

widok samotnego byka, taki bowiem, co nie ma żony ani dzieci, którego żadne stado nie przyjmuje, taki wyrzutek chodzi zły, mówiono, uciekajcie, dzieci, bo się rzuci i na rogi weźmie. W krajobrazie mego dzieciństwa żubry były czymś tak codziennym i fascynującym jak neony, jak życie ulicy dla chłopca wielkiego miasta. Obecnością ich oddychał Zwierzyniec, pałac i chaty, mówiono o nich, przejmowano się nimi, gniewano, gdy dajmy na to Jednorogi wychodził na szosę w dzień targowy i stał sobie godzinami, zatrzymując wszystkie wozy do Białowieży, albo gdy Lucyper rozwydrzył się nie do wytrzymania, zabijając trzeciego z kolei człowieka, istny ludobójca, słusznie go starszy pan, to znaczy dziadek, zastrzelił. Żubry budziły strach, podziw, zaciekawienie, czasem współczucie, niepodobna przecież nie litować się nad wiekowym bykiem, jak długo i ciężko umiera, przewraca się z boku na bok pod dębem i co westchnie, to się puszcza odezwie bliźniaczym, głuchym pojęciem. Albo taka niepłodna żubrzyca, co nie mogąc się doczekać własnego maleństwa, wprowadza, biedna, jałoweczkę z babcinego stada... Mieszkały obok nas w tej samej puszczy, ich sprawy i przeżycia nie były bez znaczenia dla nas, mieszkańców Zwierzynca, pamiętam, jak długo i uporczywie wszyscy się zastanawiali, zgadywali, dlaczego żubry pociągnęły raptem pod Browsk. Co w tym jest takiego i ku czemu? Pamiętam dni walki z zarazą, a w rok później nastrój przygnębienia w całym osiedlu, gdy zdychały żubry kaukaskie... Dziadek w celach doświadczalnych, trzeba wiedzieć, zapoczątkował wymianę żubrów nizinnych i górskich, z Kaukazu przesiedlał do Białowieży i odwrotnie, złowione u nas wysyłał na Kaukaz.

Raz wziął mnie na takie łowy. Zajechaliśmy bryczką pod sam płot, pod taką jaśniutką, pachnącą świeżo ociosanym drewnem ścianę z grubych desek, długości może stu kroków, a wysoką na dwa metry. Wdrapaliśmy się dość żwawo jak na nasz wiek (ja miałem osiem lat, a dziadek siedemdziesiąt) i wyjrzawszy z góry, zobaczyliśmy drugą taką samą ścianę płotu naprzeciwko, obie two-

rzyły zwężający się stopniowo korytarz, wylot zamykała wielka masywna skrzynia-klatka na kółkach, suwane jej drzwi były podniesione, tak że nie widziało się za nimi jegra, co stał na wierzchu klatki i trzymał przed sobą drzwi jak tarczę, jak nóż gilotyiny. A z drugiej strony płotu, na którym staliśmy wszyscy – dziadek, ja, chłopci i jegrzy – na niewielkiej śródleśnej polance znajdowały się od wczoraj zwabione tu i zamknięte w ogrodzeniu żubry, małe stadko, siedem, może dziesięć sztuk. Już się zorientowały, że są zamknięte, widziały głowy ludzi czyhających na nich zza płotu, strwożone więc i czujne zbiły się do kupy i stały nieruchomo, gotowe do ataku. Słońce stamtąd oślepiało, dziadek przesłonił dłonią oczy, lustrując całe stadko. Wszyscy patrzyli na niego, zdawało się, że i żubry widzą tylko jego, tego oto najstarszego w siwej kurtce z zielonym szamerunkiem, i to nasuwało pewne skojarzenia, nie bez uczucia dumy: Burmus żył, ile tylko może żubr, dawano mu, kiedy zdechł, trzydzieści pięć lat, dziadek ma dwa razy tyle, taki stary, ale jary, rumianolicy, z białą brodą jak Święty Mikołaj, nawet ładniejszy, taki dumny, z orlim nosem i ostrym strzeleckim spojrzeniem, z pewnością ładniejszy od Świętego, tylko bez tej słodkiej, wigilijnej dobroci, gdzie tam, słodczy nie ma w sobie żadnej, ale mądry, ale najważniejszy, daj Boże każdemu takiego dziadka... Skinął wreszcie dłonią na pięknego byka stojącego nieco na uboczu. Z płotu zeskoczył młody jegier i ciągnąc za sobą sznur z fladrami, przemknął między bykiem a stadem, żubry zachnęły się i cofnęły. Byk został odcięty od stada, ale nie poszedł naprzód w stronę korytarza. Próbowano go ruszyć tak i owak – nie chciał. Uparł się i basta. Wówczas nie wiadomo skąd i jak zjawił się na polanie Kiczkałło i poszedł na byka. – *Pozor!* – krzyknął dziadek, to znaczy, że się zirytował lub rozsierdził, wymykały mu się wtedy słowa czeskie – ale mi nie bzikuj! Cenił i lubił Kiczkałłę, miał go za najlepszego jegra – ja go kochałem. Kochałem w nim dobrotliwą, pogańską fantazję, w której żyły sobie bezgrzesznie niefrasobliwe baśniowe istoty nie

z tego świata, a drzewa, ptaki i zwierzęta znakomicie porozumiewały się między sobą i z nim samym, Kiczkaǳł, bo się na tym znał jak nikt inny, może nawet lepiej niż dziadek znał się na wszystkim, co leśne, i mówił ze mną poważnie, czasami w sposób niemalże poufny, jakbym był na równi z nim dorosły i mądry. Więc ten Kiczkaǳł, jak go ukazałem później w pewnej powieści dla młodzieży – kościsty, wielki chłop dużej siły i jeszcze większej zwinności – nie zważając na ostrzegawczy okrzyk dziadka, stanął przed upartym bykiem z kijkiem w ręku. Powiodł nim jak toreador szpadą i trzasnął o cholewę. Byk szurnął do niego, Kiczkaǳł uskokczył w stronę korytarza i za drzewo, byk dokoła, Kiczkaǳł jeszcze dalej, za drugie drzewo, potem wychyliwszy się zza niego, trzask! przebiegającego byka kijkiem po rogach, ten zarył ze zdumienia kopytami w ziemię, wodzi łbem, a Kiczkaǳł znów przed nim, znów strzela o cholewę i cofa się w głąb korytarza, coraz bliżej klatki, gdzie drzwi otwarte, gdzie okienko prześwituje niby wyjście – żubr tam się rzuca, Kiczkaǳł skacze na płot wprost na wyciągnięte ręce widzów, klatka się trzęsie, to żubr uderza rogami o tylną jej ścianę, i znów trach, to jegier spuszcza drzwi. Cisza. Oszołomiony ciemnym pudłem żubr nie rusza się. Przez okienko, gdy zaglądam tam po paru minutach, widzę nabiegłe krwią oczy zwierza, czuję gorący jego oddech i ostry, błotno-potny odór. – Ale nic mu nie zrobisz – błagam dziadka – nic mu nie zrobisz? Wypuścisz? – Uspokój się, jedzie przecież na orzechy kaukaskie, na pomarańcze... Po deskach pochylni wrolowano klatkę na platformę, konie bocząc się i chrapiąc, szarpnęły i wišta-wio! Pod słońcem południa trochę zrudział, schudł, ale się utrzymał w lasach subtropikalnych, potomstwo jego i innych żubrów białowieskich po dziś dzień łązi sobie w najlepsze po górach Gruzji i Dagestanu. A kaukaskie żubry wszystkie co do jednego w Puszczy Białowieskiej wyzdychały. Podobno zdechły prawidłowo, takie jest ponoć prawo przyrody, mówił wuj Stefan, mamy tu najlepszy dowód na to, że z dolin

w góry można przesiedlać, co się tylko chce, i zwierzynę, i człowieka, a z gór w dolinę nie, jak to wiadomo chociażby z pieśni *Góralu, czy ci nie żal?*. No właśnie, wnet z tęsknoty ginie.

Kiedy to się działo? A chyba rok po śmierci ojca i Tołstoja, w dziesiątym roku obaj zmarli, dwie żaloby były w domu, tak więc te łowy, właściwie odłowy, ostatnie odławianie ostatnich dzikich żubrów odbywało się w jedenastym, w 1911 roku... Z tamtego czasu, jak spojrzeć dokoła, nic nie zostało, ani budynków, ani płotu, ani studni, ani dawnych ścieżek, nawet las się zmienił. Takie same oto lasy jak w Puszczy Piskiej czy Boreckiej, na jeden model prowadzone w celu pozyskania drewna, taka sama mniej więcej leśniczówka...

Nieopodal ganku, za ogródkiem warzywnym znaleźliśmy trochę kamieni po fundamentach. Podniosłem jedną grudkę. Tu ja się urodziłem, synu, powiedziałem Jarkowi, tu stał nasz dom. Spłonął w czasach pierwszej wojny. Wielkiego carskiego pałacu w Białowieży wcale mi nie żal, potworna eklektyka, szpeciła tylko okolicę. A ten pałacyk myśliwski był naprawdę ładny, z modrzewia, w takim jakimś leśno-żurowym stylu, w naturalnym ciepłym kolorze miodowym drewna pod pokostem, poprzecinany balkonami, galeryjkami, opuszony dzikim winem od dołu po gonciany siwy dach – fantazyjne domostwo, mówię ci, a swojskie przy tym, borowe, jakby tu rosło sobie i wyrosło razem ze strzelistymi świerkami dokoła, z kudłatymi dębami i całą dżunglą leszczyny.

Chodząc po tej zagrodzie, wciąż w obrębie starego, obwiedzionego płotem lasu, trafiliśmy na zwirek występujący białą wysypką spod mchu, czyli że tutaj właśnie była wysypana zwirem aleja od pałacyku do bramy białowieskiej, to znaczy do wuja Charczuna, druga aleja wiodła przez park do bramy w stronę Hajnówki, do cioci Ani i wuja Stefana, a w rozwidleniu tych dróg stał wśród świerków żubr z lanego żelaza na granitowej płycie i postumencie, także z żelaza, w kształcie ogromnego sarkofagu o dekoracyjnych ślimacznicach, spływających łagodnie z każdego rogu ku liściom akantu na dole.



Na frontowej ścianie, zwróconej w stronę pałacyku utrwalono ku wiekustej pamięci 6 i 7 października 1860 roku dni wielkich łowów cara Aleksandra II w Puszczy Białowieskiej. A na ścianie tylnej, to znaczy od szosy, miało się wszystkich myśliwych i ich trofea. Wodząc palcem po wypukłych ośniedziałych literach, mogłeś wprawiać się w kunszt czytania na imionach książąt, prynców i księżniczek o dziwacznych i trudnych tytułach, obok liczb ubitej przez nich zwierzyny. A cały postument był na wysokość wzrostu dwóch pędraków w wieku indiańskim, tak że gdy jeden stawał na ramionach drugiego, to sięgał ręką do kopyta żubra, powiedzmy ówczasie, bizona, podciągał się pod ogon, włązić należało po ogonie, od zady, by potem przesunąwszy się po grzbiecie do grzywy, klepnąć gołymi piętami straszne czarne zwierzę po łopatkach i pędzić ponad świerkami, ponad szosę z bojowym, krew mrozącym okrzykiem „achturhaj!”.

Przez wszystkie lata towarzyszył nam w Zwierzyńcu Żelazny Żubr. Każdego prawie dnia jeździliśmy na nim. Kiedy się było małym, włąziło się nań dla samej przyjemności wdrapywania się i ryzyka nie bez pewnego dreszczu, czy się noga nie opśnie na postumencie. Żubr nie nastawiał jeszcze rogów kontra, nie spoglądał w stronę domu z ową wyzywającą wzdardą, jakiej nabył później. W tym domu pachnącym żywicą i świerkiem (żywica bursztynowymi kroplami polśniewała na belkach sufitu, na deskach ściennej boazerii, a puszyste gałęzie choiny do wycierania nóg leżały zawsze na schodach i na każdym progu), w ciemnym, wielkim domu, gdzie cienie i głosy szły za tobą dłużej i bardziej znacząco niż na pokojach zamkowych, miało się jeszcze sporo miejsc do poznania i spenetrowania. Przede wszystkim podziemia, rozległe korytarze i piwnice, jedne zamknięte, jak ta na wino i ta na flagi, pochodnie, festony i inne galowe rekwizyty, a inne piwnice otwarte, zawalone rupieciami, kopalnie bezcennych rzeczy i odkryć. Następnie zakazane komnaty carskie, do których można było dostać się tylko wtedy, gdy je wietrzono i odkurzano. Spizarnia babci, kapliczka boskich

przysmaków – kiedy się tam szło od faski do faski, od słoika do słoika, to jakże trudno było ocknąć się z ekstazy słodkiego palucha i umknąć w porę. Gabinet dziadka – tu się brało lanie i dobre rady, i tu się dopiero czuło mężczyzną, w tym zapachu cygar i skóry, między rzędem flint i sztucerów za szkłem a wiązką kordelasów i trąbek na ścianie, w obecności wielkich ksiąg z obrazami w najżywszych kolorach o wszyściutkich zwierzętach i ptakach, o każdym drzewie i każdej roślinie. Poza tym w gabinecie dziadka można było wywołać głosy ludzi i zwierząt, bo na biurku stało dębowe pudełko telefonu z korbką, a na półeczce leżały różne waby, wabiki, odzywające się rykiem jelenia albo popiskiwaniami sarny, albo zającem, który kniazi żałośnie z bólu i przerażenia... A na samym strychu spoczywały w kurzu i zapomnieniu pamiątki po zbójach leśnych – oszczepy, żelaza i strzelby, przeważnie swojskie, wsiowej roboty, każda z drewnianą metryczką na drucie, nazwisko kłusownika i numer sprawy. To między innymi gdzieś tam w kątku. Cały ogromny strych zalegały trofea myśliwskie, zwały rogów łosi, żubrów, jeleni, danieli i kozłów, dzicze kły, skóry żubrze, wilcze, rysie, borsucze – starczyłoby tego na wyposażenie kilku dobrych muzeów łowieckich. Zakradaliśmy się tam z moim druhem i rówieśnikiem, Bolkiem, synem Bolesława, stangreta. Przelaząc po belkach pułapu nad zamkniętymi na kłódkę drzwiami, braliśmy z tego skarbcza co trzeba do naszego wigwamu na dnie parowu między stawem a wędzarnią. To się działo już po paru latach, tyle trwała droga na strych, do pełnej sprawności rąk i nóg.

Spenetrowany po wielekroć do ostatniej komórki dom stawał się ciasny i nudny. Już się odkryło Amerykę i Old Shatterhanda, świat wielkiej przygody upajał i wabił, i Żubr zerkał już w stronę domu z wyraźnym przekąsem. Na Żubra szło się teraz jak po narkotyki ucieczki i pędu. Wystarczało, siedząc okrakiem na potężnym karku, unieść głowę i patrzeć na mknące po niebie obłoki, a wierzchołki świerków uciekały w tył, ziemia zaczynała falować do rytmu żelaznych kopyt w galopie, mąciło się w głowie od myśli goniących nie-

możliwe rzeczy, które raptem stawały się możliwe, i serce się tłukło za wolnym stepowym wołaniem: achturhaj, achturhaj... Choćbym teraz puścił fiata po ostatnią kreskę tachometru, nie zaznam nigdy takiej łaski pędu, takiego stanu wyzwolenia.

Dom, jak powiedziałem, coraz bardziej stawał się ciasny i nudny, zachował jednak pewne wciąż atrakcyjne enklawy, jak kuchnia i taras.

W kuchni zawsze coś się działo ciekawego, jak nie na stołach ciągnących się wzdłuż ścian, to przy piecach, a było ich dwa, chlebowy i zwykły, do gotowania, jak się nie piekło pod blachą czy na roznach, to się robiło wędliny albo sery, masło, marynaty, kiszonki, solonki, konfitury, nalewki, skubało się gęsi, perliczki, indyki. Raz, pamiętam, na pół oskubane indyki ocknęły się na stołach i wrzasnąwszy piekielnie, skoczyły przez okno. Jak się później okazało, leżały na podwórzu zalane w pestkę po zjedzeniu wyrzuczonych ze spirytusu wiśni, a dziewczęta myślały, że indyki padły, i żeby choć pierze uratować, zaczęły je skubać.... W kuchni zawsze był ruch i gwar. Rej wodził Paweł, który właściwie nie należał do babińca, należał do męskiej, dziadkowej służby, ale niewiele mając pracy przy dziadku, pomagał babci i najwięcej gadał w kuchni wśród dziewcząt, przygadywał sobie każdą nową, młody i przystojny, brał je wszystkie po kolei, ale żadnej nie zrobił dziecka, chodził więc w glorii podziwu i zaufania. Opowieści jego, uciészne bądź straszne, nosiły znamiona realizmu romantycznego i były fascynujące, jak dajmy na to o dwóch takich spod Prużan, co poszli w diabły – niby to wyjechali do Ameryki, a naprawdę oni, ci dwaj chytrzy bracia, zamieszkali w loszku na cmentarzu tuż przy brzeskim trakcie i stamtąd nocą wypadali w koźlich skórach, z rogami, w żelaznych rękawicach z nożowymi pazurami na trzy cale, którymi mordowali podróżnych; oczy im się jarzyły zielonym ogniem, do tegoż jeszcze jeden z braci huknął, a miał taki bas, że jak huknął, to nieraz koniom popręgi pękały i już każdy